



DAWEŁ MĄSKA

JEDYNE

*ścieżki krwi*

GENIUS  
CREATIONS

Paweł Majka  
Jedyne:  
Ścieżki krwi



*Muszę to sobie opowiedzieć. Dopiero wtedy fakty zaczynają układać mi się w głowie, splatać w ciągi wydarzeń. Pojawiają się zaczątki harmonii i celów. Samo przeżywanie tego wszystkiego to za mało. Należy spojrzeć z dystansu, poszukać narracji w lawinie banałów. Trzeba zmienić swoje życie w opowieść, popatrzeć na nie, jakby miało ukryty sens.*

*Wokół mnie trwa rzeź. Patrzę na rozciągnięte w nieskończoność spowolnionego czasu konanie przyjaciela. Nie mogę go uratować. A może mogę? Cokolwiek zrobię, zrobię źle, nie ma dla mnie dobrego wyjścia.*

*Muszę opowiedzieć sobie całą tę historię. Może coś z niej zrozumie i przynajmniej ograniczę straty.*

## Rozdział 1

# *Myszon*

### 1.

Nazwali mnie Myszon Oko. Przyjąłem to imię od obcych ludzi w miejsce wcześniejszego, nadanego przez ojca. Tamto pierwsze, choć niepozbawione znaczenia, nie miało żadnych cech indywidualnych. Nie wyróżniało mnie i raczej opisywało moje miejsce w domu, a przez to i na świecie, zamiast stać się moim własnym mianem, słowem, które mógłbym nosić jak proporzec. Tak w każdym razie sądziłem w tych lepszych czasach, gdy mniej wiedziałem i świat wydawał mi się prosty.

Długo nie miałem pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, póki generał Północ nie wysłał nas w pościg za Szalonym Widmiarzem.

Widmiarz był gościem, którego potrafiłem zrozumieć. On też niewiele wiedział o świecie. Miał mniej szczęścia niż ja. Zamiast trafić do kochającej rodziny Węzłów, wylądował na arenie. Dla niego Jedyne spro-

wadzało się do rozszalałego tłumu kibiców i wrzeszczących gladiatorów. Dla mnie stało się objawieniem i ratunkiem.

Węzły znalazły mnie, gdy uporczywie starałem się zmniejszyć do rozmiarów okruszka w drewnianej komórcie skleconej przez tatkę z tego, co akurat miał pod ręką jeszcze przed moimi narodzinami. Cały się trząsłem i ona się trzęsła. Sądziłem, że nią szarpał wściekły wicher, a okazało się, że była to furia tatki. Biegał na zewnątrz i mnie nawoływał; czasem kusząco, łagodnie, czasem gniewnie i groźnie. W jednej ręce trzymał tasak, a w drugiej obcięłą głowę Dorotki, swojej żony, a mojej macochy.

To była noc jak z opowieści. Szalała burza, pioruny jakby uparły się walić w nasz ogródek, a wiatr dokładał starań, by zerwać dach z domu. A pośrodku tego wszystkiego stał tatko – ostoja spokoju. Omijały go i pioruny, i wiatr, i chyba nawet ten deszcz, który ktoś wylewał na nas z nieba wiadrami.

Chciałem wyjść z ukrycia i wyjaśnić, że do niczego nie doszło. Owszem, żona tatki patrzyła na mnie jakoś inaczej, odkąd skończyłem piętnaście lat. Niepokoiły mnie jej zarty i spojrzenia. Założyłem dodatkowy zamek w łazience, bo zepsuła stare zamknięcie i upierała się, że chce myć mi plecy. Niby wiedziałem, o co jej chodzi, ale nie mieściło mi się to w głowie. Była w końcu żoną tatki, nie? Znałem ją od małego, tatko przyprowadził ją do domu ledwie skończyłem trzy lata.

Kobal, mój jedyny przyjaciel, nie miał złudzeń.

– Nie takie rzeczy widziałem, chłopie! – tłumaczył mi z przejęciem. – Ludzie tacy są, mężczyźni i kobiety. Trafiają się takie noce, kiedy to spada na nich jak szaleństwo. W jednej chwili siedzą sobie przy stole, a w następnej rzucają się na siebie jak psy. Gryzą się do krwi, mówię ci, prawie zabijają, a potem pieprzą się na stołach, na schodach, na podłodze. Gdzie popadnie. Nigdy nie wiesz, kiedy komuś odwali i z jakiego powodu. Ta twoja oszalała. Przecież twój stary ją zabije, jak się dowie.

Kobal uciekł z domu jako ośmiolatek. Podobno z jego rodziną było coś bardzo nie tak. Rządził nią stary świr, o którym powiadano, że dogadał się jakoś ze śmiercią i o ile nie opuszczał swojego śmierdzącego pokoiku, nic mu nie groziło. Gdyby choć przekroczył próg, kostucha dopadłaby go i raz-dwa przemieliła za te wszystkie zagarnięte lata.

Czasem obaj wyobrażaliśmy sobie, jak staruch umiera. To były mocne, widowiskowe śmierci, zawsze przerażające i komiczne zarazem. Śmialiśmy się i dodawaliśmy nowe, śmieszne albo makabryczne szczegóły. Kobal zwykle poważniał pierwszy.

– To jest dobre, chłopie – mówił. – Móc się z niego tak pośmiać. Dzięki temu, że mogę, wiem, że mnie tam nie ma!

– No przecież, że cię tam nie ma – dziwiłem się. – Jesteś tu.

Zazwyczaj tylko kiwał głową. Ale raz ukradł butelkę jabłecznika z zapasów Kiriya, właściciela knajpy, który

go przygarnął. Wypiliśmy ten jabłecznik i zupełnie nam odbiło. Śmiałyśmy się bez sensu, krzyczeliśmy, nawet się pobiliśmy. I oczywiście wymyśliliśmy dla starego szczególnie widowiskową śmierć. To wtedy Kobal powiedział:

– Co rano staję przed lustrem i patrzę na całą swoją rodzinę. Patrzę na ich policzki, nosy i te cholerne blade oczy. I zastanawiam się, czy naprawdę uciekłem.

Połączyło nas chyba to, że obaj nie znaleźliśmy swoich matek. Moja umarła niedługo po porodzie. Podobno była słabą, delikatną kobietą, którą tatko uwiódł jakimś tylko sobie znanym sposobem. Nic o niej nie wiedziałem. Tatko czasem mówił, że poznał ją jako elegancką damę i musiał ją porwać jej dumnym rodzicom, a czasem, że znalazł brzydką, szarą mysz, nad którą się zli-tował, bo nie wyżyłaby bez niego.

Kobala matka dawniej odwiedzała w snach, tak opo-wiadał. Przychodziła do niego, gdy jeszcze mieszkał na farmie starucha, piękna i jasna, i namawiała go, żeby uciekł, nim stanie się taki jak inni. Był przekonany, że go chroniła, inaczej nie ukryłby się podczas ucieczki przed jasnovidzącym spojrzeniem patriarchy. Nie chciała, by jej syn dołączył do służących patriarsze nienasyconych łowców. Nie chciała, by wedle zwyczaju rodu zapładniał swoje siostry i córki. By wyruszał na łowy i porywał jakieś obce kobiety, co miało zapo-biec wyjałowieniu nasienia rodziny. Na farmie zbyt czę-sto przychodziły na świat kaleki i debile. Dla starucha były księżętami krwi, nieskażonymi. Ci, którzy naro-

dzili się z porywanych kobiet, służyli owemu potomstwu i nienawidzili go. Ale nikt się nie zbuntował ani nie próbował uciec. Do czasu, aż matka Kobala zaczęła odwiedzać go w snach.

– Nie boisz się, że zaczną cię szukać? – spytałem wtedy.

– Niech spróbują – warknął. – Czasem marzę, że wrócę tam i pozabijam ich wszystkich! A na końcu pójdę po starucha. Kirył uczy mnie walczyć, zna się na tym. Ale na tego drania potrzebowałbym jakichś amuletów. Może twój stary mógłby mi jakieś zrobić?

Mógłby. Z tego żył. Oficjalnie hodował bydło, trzymał też kury i króliki. Ale czasem przyjeżdżali do niego służący możnych panów z miasta, a on robił dla nich coś, co sprawiało, że bardziej podobali się kobietom albo że ich konkurentom przestawało iść w interesach. Kiedy jednak spytałem go, czy nie wykonałby amuletu dla Kobala, strasznie mnie sprzał, zamknął na tydzień w komórce i zakazał jeździć do miasteczka. Gdy ochłonął, wypuścił mnie, kazał się umyć i nawet przyniósł mi talerz gęstej, gorącej zupy. Rzuciłem się na nią wygłodniały, po tygodniu żywienia się wodą i sucharami, a on mówił. Tłumaczył, że nie mogę tak zdradzać jego tajemnic, że są ludzie, którzy chcieliby go dopaść, i dlatego musi się ukrywać i dopuszcza do siebie tylko zaufanych, sprawdzonych klientów. Musiałem się pokajać, złożyć przysięgę, że nigdy już nikomu nic o tatce nie powiem. Aż wreszcie uznał, że może mi zaufać, i wtedy wręczył mi amulet dla Kobala.

– Niech go schowa i nigdy, nigdy nie używa. Dopiero na rok przed wyprawą, jeśli się na nią zdecyduje,



niech go założy i nie zdejmuje pod żadnym pozorem. Przez rok amulet będzie się do niego dostrajał i on będzie się dostrajał do amuletu. Rok. Po roku może wyruszyć, będzie niewidzialny i nietykalny dla starucha. Jego potomstwo też nie będzie mogło go zranić. Ze swoimi braćmi i siostrami, w których krew starucha jest rozwodniona, będzie musiał poradzić sobie sam. I, synek, zanim założy amulet, musi stać się mężczyzną. Powiedz mu to. I przypomnij o przysiędze, którą mi złożył.

„Synek”, tak mnie nazywał, a za nim wszyscy oprócz Kobala. Nawet Dorotka mówiła do mnie „synek”, kiedy rzuciła się na mnie i zaczęła całować. Próbowiałem się wyrwać, ale ona przycisnęła mnie do ziemi i położyła się na mnie, jedną ręką rozpinając sobie bluzkę, drugą szarpiąc mi spodnie.

– Nic się nie bój, synek – mruzczała. – To będzie dobrze, bardzo dobrze! Tatko o niczym się nie dowie, a nam będzie tak dobrze!

Głupia! Tatko wiedział o wszystkim. Potem zrozumiałem, że to dlatego, że się bał. Ludzie opętani strachem często uważają, że wiedza zapewni im bezpieczeństwo. Może i tak bywa, ale tatkę Węzły prawie złapały pomimo wszystkich jego przygotowań.

Ledwo wielkie, gorące piersi Dorotki wypłynęły mi na twarz, rozległy się pierwsze grzmoty. Ona nawet ich nie usłyszała, ale ja aż się zatrząsałem. Nic jeszcze wtedy nie rozumiałem, ale już wiedziałem, że dzieje się coś strasznego. Te grzmoty były jak ryk tatki.

A potem kryłem się w komórce, z którą trzęśliśmy się wspólnie przed tym samym gniewem. I przysięgłbym, że komórka krzyknęła wraz ze mną, gdy potężne kopnięcie wyważyło drzwi. Skuliłem się jeszcze bardziej, oczekując tatkowego ciosu.

Ale to nie był tatko, tylko Basior.

Że tak go nazywają, dowiedziałem się później. Wtedy widziałem potężnego mężczyznę o siewiących skroniach. Był dziwnie, z cudzoziemska ubrany, a w rękach trzymał coś, co z pewnością było bronią, choć odmienną od tych, które wtedy znałem. Od razu dało się w nim rozpoznać żołnierza. Omiótł wnętrze komórki jednym szybkim spojrzeniem i dałbym głowę, że zauważył każdy paproch.

A jednak mnie nie zobaczył.

– Wyłaż, mały – powiedział spokojnie, ale tym rodzajem spokoju, w którym potęga szykuje się do skoku. Było jasne, że temu mężczyźnie się nie odmawia.

Zbyt jednak się bałem, by go posłuchać.

– Szinkti! – zawołał. – Chowa się! Chodź tutaj!

– Przed tobą się chowa? – dobiegł mnie kobiecy głos zza jego pleców. – No, no...

– To jego syn, Szinkti! Bierz go!

Jakiś cień przemknął przez drzwi. Zapachniało słodko i nawet wichura przestała trząść komórką.

– Wnika – powiedział najcudowniejszy głos, jaki w życiu słyszałem. Gdyby tak mówiła Dorotka, nigdy bym się jej nie oparł. Nawet bym o tym nie pomyślał. – Zdolniacha! Chłopcze, nie bój się, już wszystko w porządku! Już nic ci nie grozi. Chodź!

Ostatnie słowo było wezwaniem. Nie oparłbym mu się, prawie wyskoczyłem z kryjówki, ale jakiś głosik we mnie pisnął i przełamał czar. Tylko na chwilę, ale to wystarczyło, bym pozostał w ukryciu.

– Ach! – Cień się rozproszył i zobaczyłem kobietę. Drobna, w porównaniu z siwym żołnierzem właściwie maleńka, o skórce barwy miedzi, ciemnowłosa i ciemnooka, sprawiła, że słowo „piękna” nabrało dla mnie nowych odcieni. – Taki młody i taki silny!

Uśmiechnęła się filuternie.

– Naprawdę mnie nie chcesz, chłopcze? Proszę, nie odmawiaj swojej słodkiej Szinkti. Chodź, czekam na ciebie.

Zanim się zorientowałem, byłem już przy niej. Pi-snąłem przestraszony.

– No proszę, mysz! – Pochyliła się nade mną i pogłaskała. – Nie martw się, Szinkti zaopiekuje się tobą, mój mały zmiennokształtny. Umiesz powrócić do prawdziwej postaci?

Spróbowałem. Nie udało się. Dopiero pokazałem, jak potrafię piszczeć.

– Niczego cię nie nauczył, drań! – Teraz jej głos brzmiał już normalnie, nie próbowała mnie oczarować. Mimo to posłusznie wszedłem na wyciągniętą rękę i pozwoliłem się wsadzić do kieszeni munduru.

– Naprawimy to. Prawda, Basior?

– Zobaczymy, co powie generał – warknął mężczyzna. – Teraz spadamy.

W ten właśnie sposób poznałem Wężły. Ludzi, którzy przybyli zabić mojego ojca.

Pierwszego pułkownika Zachodu, jak się dowiedziałem.

Uciekiniera z Jedynego.

Podobno Jedyne zbudował Król. Tak mówią legendy, choć Basior twierdzi, że było inaczej: że Król przybył do Jedynego, które wtedy było jedynie potencjałem, czystą siłą, nagą i dziką. Gdy stanęła przed nim pierwsza świadoma istota, zyskało świadomość, choć nie własną. Stało się odbiciem świadomości Króla. I zaatakowało go ułamek sekundy po tym, jak pomyślało: jestem.

Tak naprawdę nie wiadomo, czy to Król wygrał, czy też wygrało Jedyne i stało się Królem. Przyjmuje się, że Król zwyciężył, ale może być i tak, że stał się tylko naczyniem na Jedyne i to on wzywa pomocy. Pytałem Basiora, ale nawet on tego nie wie. A przecież przez lata studiował Jedyne, by wydrzeć mu wszystkie tajemnice.

– Gdyby je zniszczyć, dom po domu, uliczka po uliczce, Król by zginął – tłumaczył.

Właśnie to próbował zrobić. Przybył, by zabić Króla, i wysadzał domy, rujnował pomniki i niszczył mosty. A gdy wreszcie go pojmano, najgroźniejszego terrorystę w historii Jedynego, stanął przed obliczem Króla i został uleczony. Król uwolnił go od szaleństwa i związał ze sobą, przekształcając obłąkanego wroga w wiernego sługę.

– To był obłąd – powiada Basior, gdy go o to zapytać.  
– Zabić Króla, ha!

Ale widziałem w jego oczach tłumiony blask, mówiący, że wciąż o tym marzy. Był jednak związanym

przywódcą oddziału złożonego z podobnych mu zbrodniarzy, ironicznie nazwanych Węzłami. Wszyscy oni przybyli do stolicy wykoślawieni i splamili się krwią, wszyscy zostali pojmani i postawieni przed obliczem Króla. A on złamał ich wolę i zniewolił dusze, na zawsze związując ze sobą pętami oddania graniczącego z miłością.

Dotyczyło to każdego członka oddziału oprócz mnie. Ja pozostawałem wolny. Tym, co mnie wiązało, było uczucie, którym darzyłem Węzły. To było moje życie i mój świat. Moja rodzina.

– Gdybyś został związany, nie mógłbyś się już rozwijać. Związanie to jakby zamrożenie w rozwoju: nie starzejesz się, ale i nie wzrastasz – tłumaczył mi kiedyś Okruch, najwyższy facet w oddziale. Nie mówił wiele o sobie i nikt mi nie zdradził, za co trafił do Węzłów. Tylko Basior nie ukrywał niczego na temat swojej przeszłości, pozostali pilnie strzegli sekretów. – Król nie chciał cię zmarnować, Myszon. A Basior nie chciał cię oddawać. No i – mrugnął do mnie – Szinkti.

Pewnie się wtedy zarumieniłem. Szinkti. Swego czasu pozwałała się czcić jako bogini. Zwariowała od tego i przybyła do Jedynego. Postanowiła uwieść i opętać Króla, by zostać jego władczynią. Kto wie, może by się jej i udało, ale Król miał już swoją Strażniczkę. Doszło zatem do pewnego rodzaju opętania, jednak nie takiego, jakie zaplanowała była bogini miłości.

Szinkti była też jedynym Węzłem, na którego Spojrzałem. Nie umiałem powstrzymać ciekawości, gdy

już opanowałem tę sztukę. Bo okazało się, że zmiennokształtność to nie jedyny mój talent, niezbyt zresztą oryginalny, choć użyteczny. Wydawało się, że tatko obdarzył mnie nim zupełnie mimowolnie i ani mu było w głowie pomóc mi go rozwijać. Powinniśmy byli wszyscy przykładać większą wagę do pokręconych strategii tatki, ale nikt go tak naprawdę nie znał. W aktach znalazły się podsumowanie jego służby i opis zbrodni, ale nie było tam wiele o nim jako o człowieku. A ci, którzy mogliby nam zdradzić coś na jego temat, zdawali się nie mniej szaleni od niego i mieli własne plany.

Za to po matce dostałem w spadku coś naprawdę użytecznego.

Oznajmił mi to nowy pierwszy pułkownik Zachodu, niegdyś podwładny tatki. Po swej nieudanej misji Węzły cisnęły mnie pod jego nogi jak zdobycz, a on przywrócił mnie do pierwotnej postaci i zaciągnął do paskudnie wyglądającej maszyny. Przypominała mi kocioł ludożerców z popularnych historii, które czytywałem niegdyś w gazetach, więc pomyślałem przerażony, że naprawdę chcą mnie ugotować. Spróbowałem uciec, a wtedy Szinkti zawołała:

– Uwaga, próbuje przenikać!

Pułkownik tylko na mnie spojrzał i jakby zamroził tym spojrzeniem.

– Nigdzie się nie wybierasz, chłopcze – powiedział spokojnie i wrzucił mnie do kotła.

Wewnątrz gęstniał śliski zielony płyn. Ponieważ zaraz zatrzaśnięto nade mną pokrywę, a ciecz wypeł-

niała wewnątrz wielkiego naczynia niemal po brzegi, naturalnie utonąłem w nim po krótkiej walce.

Tyle że okazało się, że płynem można oddychać. Trzeba było jedynie mu ulec, zaprzestać walki. Wypełnił moje płuca i żyły, wypełnił mnie całego. To było nawet przyjemne, kiedy człowiek się już poddał.

A pułkownikowi powiedziało o mnie wszystko. Później dowiedziałem się, że ów płyn był swego rodzaju na wpół świadomą istotą wyhodowaną w laboratoriach Króla. Podobno bazowano na DNA istoty z widma tak obcego, że niemal niemożliwe było w nim życie takie, jakim je znamy. Szeptem powtarzano i inne opowieści. Niezależnie od jego pochodzenia technicy królewscy, a pewnie i sam władca, stworzyli coś nowego – co nie było ani istotą, ani produktem, ale czymś pomiędzy. Kiedy już w człowieka wniknęło, pozostawało w nim na zawsze, niemal stawało się swoim własnym nosicielem. Jeden z efektów ubocznych polegał na tym, że ktoś wprawny, kto dysponowałby odpowiednią maszyną i umiejętnościami, mógł się dowiedzieć o nosicielu wszystkiego. Nawet rzeczy, o których sam zainfekowany nie miał pojęcia.

Nie brzmi to dobrze? Cóż, może i nie, ale „płyn” współpracował i z nosicielem. Dzięki niemu dowiedziałem się o sobie więcej, niż mogłyby mi powiedzieć lata badań i medytacji.

Najpierw jednak obnażył mnie przed pułkownikiem i Wężłami.

– Proszę, proszę! – cmoknął pułkownik. – Widzący! Może nie potężny, ale zawsze... Nie może mieć tego

po ojcu, on nigdy nie dysponował tą mocą. Albo wykształcił ją w sobie sam, albo... No tak, matka! Niesamowite, Bourin znalazł w tamtym widmie prawdziwą widzącą! Ciekawe, czy wypatrzył ją wcześniej, czy to był przypadek. Szkoda, że zaniedbał chłopaka, nigdy nie osiągnie poziomu matki. Ona miała zdolności, że ho, ho, spójrzcie na ślad, który zostawiła w dzieciaku!

– Przydałby nam się widzący – rzucił Basior. – Nawet tak słaby.

– Mały nic nie przeszkrobał, kapitanie.

– Jest niczyj. Znaleźliśmy go. Prawo Legionów gwarantuje nam pierwszeństwo.

– Nie należycie do Legionów!

– Jesteśmy żołnierzami i podlegamy Prawu – warknął Basior.

Szinkti stanęła między nimi, nim skoczyli sobie do gardeł.

– Chłopcy, chłopcy! Spokojniej!

– Nie zaczarujesz mnie, zostałem uodporniony! – przypomniał jej pułkownik. Usłyszałem drwinę w jego głosie.

– Nie próbuję. Uspokajam dwóch wyrośniętych chłopców. Niech Hetman zdecyduje, pułkownik.

– Moje uprawnienia...

– Odwołuję się do Prawa Legionów! – zawołał Basior.

– Wzywam Hetmana!

Przyglądałem się im z wnętrza kotła za pośrednictwem zielonej istoty, z którą zaczynałem się dogadywać. Cieszyło ją, że jestem widzącym, sądziła, że możemy sobie nawzajem wiele ofiarować. Kusila



i próbowała się przypodobać. Później Szinkti nauczyła mnie technik dominacji. Wtedy, w kotle, byłem niczego nierozumiejącym gówniarzem, którego ojciec zaledwie przed niespełną godziną próbował zarząbać tasakiem. Byłem przerażony, zdumiony i przekonany, że to wszystko mi się śni.

Albo że umarłem i za jakieś grzechy wysłano mnie do piekła.

Wezwanie Basiora zadziało jak zaklęcie. Hetman przybył natychmiast. Ale też nic nie zdecydował i odwołał się do Króla.

Wszystko to zajęło mnóstwo czasu. Musiał wyrazić zgodę szambelan, potem trzydziestu gwardzistów sprawdzało mnie na wszystkie możliwe sposoby, aż w końcu i tak zamiast przed oblicze Króla trafiłem do jego Strażniczki.

Już wiedziałem, że nie śpię. Zielona istota we mnie pozbawiła mnie tej osłony, skazała na rzeczywistość – ponoć po to, by uratować mój umysł. Cokolwiek zrobiła, podziało. Bałem się jeszcze bardziej.

Nic nie pamiętam z wizyty u Strażniczki. Mówiono, że była mną rozbawiona. Słyszałem, że opieprzyła pułkownika i oskarżyła go o prywatę.

W każdym razie przyznała rację Basiorowi. Zostałem widzącym Węzłów.

Nasz dowódca był z tego dumny i zadowolony jak wszyscy diabli. Oficjalnie potwierdzono status Węzłów. Nielicho wkurzyło to z kolei kilku oficerów legionowych, nie śmieli jednak podważać decyzji Strażniczki.

Tak więc samym swoim przybyciem napsułem krwi. Pułkownik mnie nie polubił, za to Basior wręcz przeciwnie. Nie przeszkadzało mu to jednak spuścić mi manta, po tym jak sprawdzając swoje umiejętności widzącego, Spojrzałem w zielonego symbiota Szinkti, by dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Durny zakochany nastolatek! Gdy Spoglądasz na symbioty, one wiedzą o tym i ostrzegają nosiciela. Kiedy Basior skończył rozmawiać ze mną o szanowaniu prywatności innych członków oddziału, byłem jednym wielkim siniakiem. Nie żeby robiło mi to różnicę po tym, czego doświadczyłem ze strony samej Szinkti. Użyła swoich zdolności, by wzbudzić we mnie takie poczucie winy, że szczerze podziękowałbym Basiorowi, gdyby postanowił obdrzeć mnie żywcem ze skóry.

Echo tego uczucia wciąż we mnie tkwi. Choć więc nauczyłem się używać subtelniejszych sposobów i nie potrzebuję już symbiota, by Spojrzeć w czyjeś życie, nie robię tego w stosunku do rodziny.

Jednak dopiero sprawa Szalonego Widmiarza pozwoliła mi zrozumieć, że ukryta przeszłość jest wszystkim, co pozostało Wężłom z ich indywidualnego życia.

## 2.

Widmiarz był kiedyś żołnierzem w siłach zbrojnych któregoś z widm. Oficerem elitarnego oddziału, ko-

mandosem wyszkolonym do walki i zabijania szybko i po cichu. Na nieszczęście dla niego było to jedno z tych widm, które nie doceniały swoich ludzi. Odsłużył, ile mu przypisano, po czym został wysłany na emeryturę, choć miał ledwie trzydzieści parę lat. Pokręcił się trochę w cywilnym życiu, ponudził i odkrył, że nie ma szans – nie przystosuje się. Nie do użerania z armią urzędników potrzebujących stosu papierów w miejsce jednego rozkazu, nie do niekonkretnego, pełnego wewnętrznych sprzeczności języka, nie do skrywanej niechęci i całego tego nadbagażu tak męczącego zawodowych żołnierzy, których mowa i czyny są proste. Został najemnikiem. Przyjmując zlecenia, starał się zachowywać ostrożność, ale i jemu powinęła się noga. Gdy osłaniał wyprawę zakamuflowaną jako naukowa, trafił do prawdziwego nawiedzonego miasta. Mimo to nic nie powinno było mu się stać, gdyby wyprawy nie prowadził potomek uciekiniera z Jedynego.

A tak, zdarza się, że ludzie stąd uciekają. Albo że im odbija. Rozumiem, czemu tak się dzieje. Jedyne – miasto noszące imię po bóstwie, dzięki którego mocy powstało – to nie tylko stolica imperium, ale też dosłownie centrum świata, cud, stolica wszystkich stolic. Obecność Króla i Strażniczki potrafi być tu przytłaczająca dla kogoś trawionego niezdrowymi ambicjami. Basior powiada, że czasami Jedyne przemawia do ludzi i kusi ich władzą, namawia do buntu. Opętani uciekają w widma albo knują spiski. Czasem popadają w szaleństwo, jak Basior. Jedyne nie przyjmuje do wia-

domości przegranej, wciąż toczy pojedynek z Królem. Teraz, stłamszone i zdominowane, wyciąga wnioski z poprzedniej klęski i używa do tego narzędzi. Nas.

Jeszcze nigdy nikomu nie udało się przewrót. Nawet mojemu ojcu, niegdyś wielkiej szysze i prawdziwemu talentowi, człowiekowi, o którym mówiono, że potrafił podkraść moc z Jedynego, tak że ani Król, ani Strażniczka długo tego nie zauważali.

Przywódca wyprawy, której strzegł Widmiarz, nie był tak potężny. Po ojcu miał jedynie wspomnienia, strzępy jego wiedzy. Urodził się w średnio rozwiniętym widmie i całe życie tęsknił za czymś innym, niezwykłym, za miastem z legend. Ojciec zmarł zbyt szybko, by nauczyć go przenikania – gdyby umiał to robić, podróż do Jedynego lub między widmami zajęłaby mu chwilę. Dlatego potrzebował furty, bramy – czegoś, co umożliwiłoby mu przejście.

Nietrudno o takie miejsca. Jedyne jest niemal w całości zbudowane ze skradzionych miejsc. Tylko Zamek Królewski, tam, gdzie na samym początku Król spotkał prawie wszechmocną, choć upośledzoną, bo nieświadomą siebie i swoich mocy istotę zwaną Jedynym, jest oryginalną tutejszą budowlą. Wszystkie inne zostały ukradzione. Siedziba Węzłów mieści się na przykład w ratuszu, który stał kiedyś w jednym z widmowych miast. Po drugiej stronie ulicy wznosi się należący do architektów zamek z Hunedoary, u stóp którego przycupnął bar Za Torem, speluna słynąca ze sprzedaży potwornie gorzkiego piwa. Kiedy Królowi podoba się

fragment jakiejś innej rzeczywistości, po prostu go tu ściąga. Niech nikt mnie nie pyta, jak to działa. Ze światów nic nie znika – zamek w Hunedoarze stoi w swoim widmie nadal i żeby się do niego dostać, trzeba najpierw przejechać pociągiem przez labirynt przemysłowego kombinatu ciągnącego się całymi kilometrami. Nasz ratusz pochodził z tego samego świata, jednak z miasta leżącego ponad tysiąc kilometrów od Hunedoary. U nas te dwie budowle dzieliła szerokość ulicy wykradzonej z pewnego starożytnego podwodnego miasta. Basior klął, ilekroć przez nią przechodził, bardziej bowiem przypominała kanał. Za pozwoleniem królewskim skłonił pewnego architekta, by ten ukradł skądś niewielki most i przerzucił go nad ulicą, tak by prowadził prosto do knajpy. Jakkolwiek skuteczne okazało się to udogodnienie, szefowi oberwało się za nie od dziewczyn z oddziału. Most był bowiem ozdobiony bardzo interesującymi, z lekka obscenicznymi rzeźbami. Wszystkie przedstawiały wyłącznie kobiety.

Z knajpy Za Torem można się w mgnieniu oka przenieść do jej odpowiednika w innym świecie, tam z kolei poświęcić trzy dni na dotarcie normalną drogą do Hunedoary, by z niej natychmiast przeniknąć do zamku w Jedynym. Wiem, bo kazano mi tak zrobić w ramach szkolenia.

Tak wygląda Jedyne. To miasto wszystkich miast, upstrzone wykwitami architektury wszystkich znanych światów. Puchacz, nasz oddziałowy naukowiec i konował, denerwował się za każdym razem, gdy nazywali-

śmy inne rzeczywistości widmami. Twierdził, że pozostawały równorzędne z Jedywym, tyle że ono zyskało nad nimi dominację dzięki istocie o mocy równej bogu i Królowi, który ją opętał. Nikt nie przejmował się jego gderaniem, nazwa „widma” przyjęła się nawet na przekór osobistym sentymentom. Wielu z nas pochodziło z widm, a jednak używaliśmy tego określenia, choć umniejszało to w pewien sposób status naszych ojczyzn. Mieszkaliśmy w ukradzionych domach, istniejących równocześnie w tysiącach innych światów, i spacerowaliśmy ukradzionymi ulicami. W tych samych domach i po tych samych ulicach chodzili mieszkańcy widm, ale nie dostrzegali nas; dla nich nie istnieliśmy. Ani oni nie istnieli dla nas, chyba że ktoś tego zapragnął albo był niewyszkolonym widzącym sięgającym po więcej, niż był w stanie udźwignąć. Omal nie oszalałem, gdy zobaczyłem nagle tysiące przenikających się nawzajem ludzi tłoczących na ulicach Jedywego. Na szczęście nauczyłem się to kontrolować, ale wspomnienie tamtej przerażającej chwili nawiedza mnie czasem w snach.

Zdarzało się, że któryś z architektów coś spartolił przy kradzieży i mieszkańcy widm odczuwali naszą obecność w ukradzionym domu. Takie miejsca nazywano nawiedzonymi. Zwykle nie pozostawały zbyt długo zamieszkane.

Widmiarz i jego podopieczny trafili do miasta ukradzionego przez architektów co do budynekczku. Nie podarowano choćby szopie. Swego czasu w Jedywym zapanowała moda na tego typu architekturę

i co bogatsi mieszkańcy zapragnęli mieszkać w pałacach cywilizacji bosonogich zdobywców czegoś, co się obecnie nazywało Meksykiem. Architekci, chcąc nadążyć z zamówieniami, działali nazbyt pośpiesznie i spieprzyli sprawę koncertowo. Wszyscy mieszkańcy miasta zaczęli widywać duchy. Wybuchła panika, doszło do masowych uciezek i zamieszek. Ponieważ była to stolica, niepokoje przeniosły się na resztę kraju. Państwo przeszło załamanie i w końcu upadło. Podobno Król nieźle się wtedy wkurzył. Zwykle unika ingerowania w rozwój innych światów, o ile mu one nie zagrażają albo pozostają bezużyteczne dla Jedynego.

Z ruin takiego miasta można się było do nas przedostać nawet przy mizernych zdolnościach przenikania. Pracodawca Widmiarza był zachwycony. Wszędzie widział duchy mieszkańców Jedynego zamieszkujących ukradzione domy, które u nas nie popadły w ruinę. Facet czuł, że jego ziemia obiecana jest na wyciągnięcie ręki. Wszystko w nim czekało na ten moment. Otworzył się na te nowe, tak wyczekiwane doznania i zaczął przenikać do Jedynego.

Późniejsze śledztwo wykazało, że jego tatuś był prawdziwym bydlakiem. Nie uciekał z Jedynego dlatego, że wpakował się w spisek przeciw Królowi. Sprawa była dużo bardziej prozaiczna – poszło o kobietę. Próbował zdobyć cudzą narzeczoną i posunął się nawet do próby zgładzenia rywala. Ponieważ tamten był oficerem Legionu, w uspokojenie nadpobudliwego kochasia nieoficjalnie

zaangażowali się legioniści, w wyniku czego doszło do potężnej, nieoficjalnej chryi. Nasz bohater czmychnął do jednego z widm, ale w Jedynym nie miał już ani domu, ani rodziny, ani przyjaciół. Jak wielu pacanów przed nim w podobnej sytuacji obiecał, że się odplaci.

Poszło mu o tyle kiepsko, że w widmie, do którego trafił, zachorował i umarł.

Sukinsyny takie jak on nigdy jednak nie odchodzą dość szybko. Drań zabezpieczył się przed śmiercią: stworzył odbicie własnej duszy – rzecz trudna, ale wykonalna przy odpowiednim majątku. Oczywiście w Jedynym. Jak udało mu się to zrobić samodzielnie w kompletnie nieprzystosowanym do takich działań widmie, nikt nie wiedział. Może i na to był wcześniej gotowy? Jakkolwiek by było, stworzył takie odbicie i umieścił je we własnym dziecku. Zasiane ziarenko tylko czekało, żeby wykiełkować. Ono właśnie popychało nieszczęsnego juniora do poszukiwań.

Kiedy zaczął przenikać, wbudowany weń mechanizm zadziałał i przebudził się owładnięty pragnieniem zemsty tatuś. Przejął ciało syna, nim ten zrozumiał, co się dzieje. Na wszelki wypadek zabrał ze sobą wszystkich uczestników wyprawy.

Dla nich musiało to być jak sen. W jednej chwili stali wśród ruin starożytnego miasta, a w następnej znajdowali się w niemal lśniącym nowością budynku. Jakby cofnęli się w czasie.

A potem ich pracodawca zaczął zabijać. Nie przypadkiem trafili do konkretnego miasta i budynku.



Znaleźli się w ukradzionym pałacu, w którym mieszkał niegdysiejszy rywal naszego bohatera. Nastął czas szalonej krwawej zemsty.

Przy trzecim trupie włączył się alarm i zewsząd wybiegli ochroniarze, w większości emerytowani legioniści.

Widmiarz zareagował odruchowo, choć, jak potem zeznał, był przekonany, że to wszystko mu się śniło. Trudno mu się dziwić – nagle przeniesiony, jak sądził, w czasie, do państwa starożytnej cywilizacji, został zaatakowany przez facetów w garniturach, uzbrojonych w na wskroś nowoczesną broń.

Zanim go obezwładnili, zastrzelił trzech. I tak miał szczęście – jego towarzysze zginęli w okamgnieniu. Tylko czarny charakter zdążył dotrzeć na piętro, do sypialni swojej niedoszłej. Tam sama go zastrzeliła.

Legion nie zna litości. Normalnie zabiliby Widmiarza na miejscu, jednak mógł się przydać, żeby utrzymać rodziny zabitych legionistów. Wystawiali go więc na arenie, a że okazał się niezły, zarabiali.

– Dla niego sen szybko się skończył – referował nam Basior. – Zorientował się, że to parszywa jawa, i zaczął kombinować, jak zwiać. Nie miał wielu okazji. Na co dzień siedział w areszcie Legionu, prawie nie kontaktując się z ludźmi. Tyle zostawili mu swobody, ile podczas treningów. W pewnym momencie – przegapili to – zaczęło dziać się z nim coś dziwnego. W raporcie tego nie znajdziecie, ale moim zdaniem facet został dotknięty przez Jedyne.

Pokiwaliśmy głowami. Prócz mnie wszyscy w Węzle rozumieli, co oznacza taki dotyk. Czasem czułem się wręcz skrzywdzony wolnością od tego przekleństwa.

– Widmiarz zaczął się zmieniać. Jak powiedziałem, przegapili to. Zmienił styl walki. Sprawdzałem to w zapisach relacji z walk, jeśli chcecie, też możecie je przejrzeć. Facet to zawodowiec, doskonale wyszkolony żołnierz, weteran. Zawsze walczył pewnie, ale ostrożnie. Najpierw sprawdzał przeciwnika, nie ryzykował. Zadawał decydujący cios, dopiero kiedy był go pewien. A nagle zmienił się w szaleńca. Rzucił się na przeciwników bez chwili zastanowienia, jakby był pewien, że mu nie sproszą. I miał rację.

– Mógł zwariować – podsunął Puchacz, nasz oddziałowy sceptyk. – Mieć wszystkiego dość i nawet pragnąć śmierci.

– To nie to. Sprawia wrażenie, jakby przewidywał posunięcia przeciwników. Niby dawniej też tak było, ale atak poprzedzała obserwacja. A teraz wchodził na arenę, widział gościa pierwszy raz w życiu i rozpracowywał go raz-dwa. Zaczął też więcej zabijać. Wcześniej nie spieszył się do tego, teraz jakby nie mógł doczekać się widoku krwi. A dwa dni temu po zakończonej walce zniknął.

– Jak to zniknął? – Puchacz nie lubił niedomówień.  
– Uciekł z więzienia? Z areny?

– Zniknął to znaczy zniknął – odrzekł, krzywiąc się, Basior. – Zabił przeciwnika, napił się jego krwi... a prawda, wprowadził taki zwyczaj do swoich walk. Ukłonił się publiczności, uśmiechnął szyderczo i zniknął.

- Przeniknął? – domyśliłem się.
- Aha. Punkt dla Myszona. Przeniknął, choć wcześniej tego nie umiał.
- Mógł się nauczyć. – Puchacz wzruszył ramionami. – Wszyscy tu umieją przenikać.
- Spece z Legionu na wszelki wypadek założyli mu blokadę. Nauczył się też ją zdejmować, cwaniaku?
- Puchacz nie odpowiedział. Pokręcił bezradnie głową.
- Jeśli przeniknął, to sprawa jest prosta. – Wszedłem w jego rolę. – Trzeba go znaleźć w pobliżu oryginalnej areny. Będzie w świetle, z którego ją ukradliśmy.
- Kasuję twój punkt, młody – Basior się wyszczerzył – nie było go tam. Legioniści przeczesali każdy centymetr kwadratowy piachu. Facet nigdy się tam nie pojawił.
- To gorzej. Albo był tak dobry, że ich oszukał, albo...
- Swobodny przenikacz! – zawołałem równocześnie z cichym zazwyczaj Sadinowiczem.
- Popatrzyliśmy na siebie. Ja się uśmiechnąłem, on oczywiście nie. Albo zapomniał, jak się to robi, albo nigdy tego nie potrafił. Przybył tu jako kapłan ponurej rygorystycznej religii, przekonany, że musi zabić Herolda Ciemności, zwiastuna końca świata. Wychowywali go kapłani, wierzący, zdaje się, że poranna chłosta znakomicie zastępuje śniadanie, a poczucie humoru to grzech.
- Każdy mieszkaniec Jedynego umie przenikać. To umiejętność, z którą tubylcy się rodzą, a której przybysze uczą się z czasem. Jakby nasycone obecnością opę-

tanego bóstwa miasto dotykało nas i oznaczało, dopasowywało do siebie. Jednak większość, poza naprawdę uzdolnionymi bądź odpowiednio wyszkolonymi, potrzebuje ukradzionych miejsc, by przenieść się do ich oryginalnych odpowiedników. Niewielu natomiast potrafi przenikać bez wspomagania do dowolnych widm. Jeśli nasz uciekinier nauczył się czegoś takiego, był groźny. Nawet jeśli pragnął tylko uciec i żyć w spokoju.

Wiedza daje władzę, a ta nie pozwala spokojnie spać.

No i my, Wężły, wierzyliśmy, że za tym wszystkim może stać Jedyne, wciąż poszukujące dla siebie skutecznego czempiona. A jeśli tak, to prędzej czy później gladiator powróci, aby zabić Króla.

– Swobodny przenikacz – zgodził się Basior. – Ktoś obdarzony naturalnym darem, dla którego bariery międzywymiarowe nie istnieją. To albo jakaś inna sztuczka. Bierzymy się za niego. Ja, Szinkti, Uparty, Kiczok i Oko. Mus, przejmujesz dowodzenie w bazie. Untak, spróbuj wyszperać w raporcie coś, co przegapiłem. Ika i Doci, otwórzcie się na szумы, chcę wiedzieć, o czym szemrają przestrzenie.

### 3.

Przepisy nie nakazywały nam się specjalnie ukrywać. Niepisane prawo mówiło, że ludzie wszystko sobie jakoś tłumaczyli, o ile nie przeginaliśmy. Niemniej pojawienie się znikąd grupy uzbrojonych po zęby żołnierzy zawsze

robiło wrażenie. Dlatego staraliśmy się wybierać do przenikania miejsca ustronne, gwarantujące anonimowość. Choć bywali wśród nas i tacy, którzy lubili wywierać wrażenie na tubylcach.

Tym razem nie mieliśmy czasu na przejmowanie się czyjąś wrażliwością. Należało łapać trop, póki gorący.

Zaczęliśmy od Złotych Aren, olbrzymiego centrum rozrywki, w którym można było podziwiać krwawe sporty na kilkunastu scenach. Strażniczka kazała je zamknąć ma czas poszukiwań, czym zepsuła nastrój połowie miasta. Nad Arenami nigdy nie gasły światła i nigdy nie cichł w nich gwar. Wybryk Widmiarza sprawił, że slogan przestał mówić prawdę.

Pilnujący Aren legioniści przepuścili nas niechętnie. Nie dość, że od czasu zamieszania związanego z moją rekrutacją działaliśmy im na nerwy, to jeszcze teraz ewidentnie wchodziliśmy na ich teren. Nawet się nie zdziwiłem, kiedy dopadł nas ichniejszy oficer i zameldował, że na rozkaz samego Hetmana ma wyruszyć z nami, dokądkolwiek pójdziemy. Basior zmierzył go niechętnym spojrzeniem, ale wzruszył ramionami i oznajmił, że się zgadza. Zerknął tylko na Szinkti. Chwilę później legionista był w niej zakochany po uszy.

Mogłem Spojrzeć na oficerka. Basior, jak to on, domyślił się, co kombinuję, i lekko pokręcił głową. Nie mieliśmy czasu na głupoty. Jeśli legionista zacząłby sprawiać kłopoty, Szinkti sama by sobie z nim poradziła. A Legion wkurzyłby się, gdyby przyłapał mnie na podglądaniu. Raporty i tłumaczenia pisalibyśmy potem tygodniami.

Widzenie potrafi dać w kość nieprzygotowanym. Spoglądanie na ludzi jest proste, bowiem większość z nas nie jest zbyt skomplikowana. Dzielimy kilkaset pragnień i zobowiązań opartych na wciąż tych samych założeniach. Spoglądam w człowieka i pośród kłębowiska jego myśli i uczuć dostrzegam pełnię jego osoby. Nie potrafię czytać myśli. Mogę za to przeczytać duszę.

Spoglądanie poprzez przestrzeń i czas wymaga większej uwagi. Jeżeli pozwolisz mi się ponieść, możesz skończyć jako śliniący się i wrzeszczący szaleniec. Nie chodzi nawet o to, że w jednej chwili ukażą ci się setki płaszczyzn wszystkich dostępnych widm, bombardując cię doznaniem. Kłopotem są szumy. Kiedy zanadto się otwierasz na przestrzeń, dopada cię sfera, która leży między widmami. Jest właściwie niezauważalna i przenikając między widmem a widmem, można ją przegapić. A jednak istnieje. I jest pełna szumów – ech wszystkich światów, wspomnień po rzeczywistościach, które zniknęły, albo zapowiedzi tych, które jeszcze nie powstały. Szumy to dziwne zjawisko, nikt do końca go nie pojmuje. Jeśli się od nich nie odizolujesz, mogą wpłynąć na umysł i zrobić z nim różne paskudne rzeczy.

Spoglądanie poprzez czas także nie jest proste. Każdy z nas ma swoje wspomnienia i sądy dotyczące przeszłości. Szukając śladu gladiatora, musiałem się oprzeć na przekazanych mi informacjach na jego temat, a równocześnie odfiltrować dotyczące go subiektywne odczucia zakłócające odbiór. Widzącemu bardzo łatwo

oszukać samego siebie i podążyć za wyobrażonym, nie zaś za rzeczywistym tropem.

Ujrzałem arenę, jaką była godzinę temu. Potem cofnąłem się głębiej. Wypełniły mnie setki doznań, przeważnie opartych na upojeniu czy to publiczności, czy gladiatorów. Szukałem w nich czegoś szczególnego, co mogło naprowadzić mnie na trop. Był żołnierzem... To za mało. Poprzez symbiota sięgnąłem po dane dotyczące widma, z którego pochodził gladiator, i spróbowałem uchwycić jego charakterystyczną aurę. Nie znalazłem jej, ale trafiłem na coś podobnego, jednak przekształconego i upodłonego. Widzący opiera się na wrażeniach i intuicji, czasem oceny spływają na nas same. Aż się cofnąłem przed tym uczuciem. Zebrałem się w sobie i uderzyłem jeszcze raz. Skupiłem na odnalezionym tropie, odizolowałem wszelkie inne doznania i przesterowałem swoją wrażliwość, by zwiększyć oddziaływanie odnalezionego wrażenia. Jakkolwiek prosto może to brzmieć, bez wspomaganie symbiota nie potrafiłbym tak dokładnie panować nad talentem.

Krzyknąłem, kiedy ze wszystkich stron uderzyła we mnie krew. Wokół eksplodowały wzburzone, huczące karmazynowe potoki, a ja byłem w ich centrum, stałem się sercem pompującym strumienie krwi poprzez wymiary. We wszystkich znajdowałem ślad aury widma naszego celu zmieszany z aurami innych widm. Każdy strumień zaś zawierał charakterystyczną cechę konkretnego widma. Tłumiąc mdłości, zacząłem przeszukiwać je w poszukiwaniu takiego, w którym aura gladiatora byłaby najsilniejsza.

– Coś mam – zameldowałem wreszcie. – Skupcie się na mnie.

Nie jest łatwo podróżować w grupie. Potrzeba albo silnego przewodnika zdolnego narzucić swoją wolę towarzyszom podróży, albo dobrego zestrojenia ekipy. To pierwsze wymaga umiejętności i mocy, którymi nie dysponowałem, drugie specyficznego szkolenia. To akurat zostało mi ofiarowane.

Wyczułem, jak się do mnie podłączają, i skoczyłem.



## Rozdział 2

# *Saridot*

Niedługo przed ucieczką Widmiarza mężczyzna ubrany w nierzucający się w oczy garnitur barwy fabrycznego dymu obserwował grupę klaunów ganiających po jednej z małych aren w przerwie między pojedynkami.

Lekkie starcia przyciągały tłumy nie mniejsze niż zwieńczone finałem walki ciężkie, lecz działało się to przede wszystkim za sprawą niższych cen biletów. Zajęcie miejsca na trybunach okalających jedną z dużych aren wiązało się z poważniejszym wydatkiem, ale też wiązało się z awansem – lub choćby jego pozorem – do pewnego rodzaju elity. Ławy przy dużych arenach okraszały liczne zdobienia, postarano się też, by były wygodniejsze. Rody magnatów i możnych mieszczan miały tam własne zamknięte loże – jak powiadano, siedliska spisków i intryg oraz źródła łask i majątków.

Wszystko to w cieniu pomników słynnych zwycięzców otoczonych fontannami i klombami. Duże areny mogły być polami krwawych starć, jednak zadbano, by ich otoczenie było piękne wedle klasycznych kanonów urody, którym przeważnie hołdowali bogacze.

Łoże znajdowały się także wokół małej areny, nikt jednak nie kwapił się z wykupywaniem ich na własność. Wynajmowano je snobom, których niewytłumaczalne kaprysy przyciągały na występy gladiatorów niekończące się śmiercią walczących. Najczęściej zajmowali je trenerzy i łowcy talentów. Trafiali się też ludzie, którzy oficjalnie gardzili krwawym sportem, nie potrafili jednak oprzeć się urokowi pojedynków. Mała arena zapewniała kompromis pomiędzy sumieniem a pasją.

Timotei Saridot, wysoki, upiornie chudy mężczyzna o sępiej twarzy, wężowych oczach i kocich manierach, nie zaliczał się do żadnej z tych grup. Ci, którzy go znali, zwykli mawiać, że dokądkolwiek się udawał, wiodła go zawsze jakaś misja. Sam lubił myśleć o sobie jako o człowieku, którego życiem i działaniami kieruje sens. Może nie jakiś wielki, konkretny, ale suma drobnych sensów układających się w większy, trudny do rozszyfrowania wzór. Większość ludzi znających Saridota określiłaby jego życie mianem wiecznej służby idei większej niż on sam.

Sport, krwawy czy nie, nie interesował go, póki ktoś nie wskazał mu przydatności takiego zainteresowania. Jeden z członków zarządu Klubu Perły, którego poz-

stawał oddanym sługą, polecił mu przyjrzeć się walkom na małej arenie, a on podporządkował się owemu poleceniu. Od miesiąca wynajmował tę samą lożę i obserwował zawodników. Jego obecność naturalnie nie umknęła uwadze stałych bywalców. Wiedzieli, kim jest, i doszli do wniosku, że klub postanowił zainwestować w gladiatorski interes. Wywołało to pewne zainteresowanie, aczkolwiek niewielkie. Uznano to za kolejne, być może stanowiące część większego fortelu, posunięcie w odwiecznej wojnie pomiędzy Różą a Perłą – dwoma klubami skupiającymi ludzi zarządzającymi miastem tam, gdzie Król nie czuł potrzeby bezpośrednio ingerować. Wiernie służąc władcy Jedynego, klubowicze stanowili własne prawa, kierowali handlem i policją, decydowali o wznoszeniu bądź miażdżeniu maluczkich. Rozsądek nakazywał nie mieszać się w tajemniczy konflikt między nimi, toteż Saridot mógł podziwiać walki nie niepokojony przez natrętów.

Tego dnia jednak zaprosił do loży gościa, jednego z czołowych niezależnych łowców talentów – Imogena Tratsa. Świadom, że nie można odrzucić takiego zaproszenia, Trats zjawił się punktualnie i od blisko godziny oczekiwał w milczeniu, aż gospodarz uraczy go choć słowem. Z racji zawodu Trats potrafił być cierpliwym lub, jeśli tego wymagały okoliczności, zuchwałym. Tym razem uznał, że należy postawić na cierpliwość. Nie odezwał się pierwszy. Wykorzystał czas na przyglądanie się zawodnikom i robienie notatek w niewielkim, oprawnym w skórę notesie.

Na małych arenach pojedynkowali się na ogół początkujący gladiatorzy. Prawie nie było tu niewolników – tacy, pozbawieni wyboru, trafiali od razu do ciężkich walk. Wyjątek stanowili niewolnicy należący do niezbyt zamożnych, stawiających pierwsze kroki w branży właściciele stajni. Ci nie chcieli ryzykować utraty majątku, dlatego godzili się z niewielkimi zyskami, uparcie ciułając każdy grosz i obiecując sobie, że gdy tylko sytuacja im pozwoli, staną w szranki z największymi. Liczyli też na to, że zgłosi się do nich jakiś młody talent, prawdziwy nieoszlifowany diament, który pozwoli im w ciągu jednego sezonu przeskoczyć do wyższej ligi.

Zdarzało się to rzadko. Nowi, wolni gladiatorzy woleli służyć samym sobie. Wkraczali na małe areny niezwiązani z żadną stajnią, polegając jedynie na własnych umiejętnościach i brawurze. Do małych stajni trafiali co najwyżej desperaci, których nie stać było choćby na najbardziej podstawowe wyposażenie. Nie bez powodu nazywano takie stajnie „żebraczymi”. Stanowiły konglomerat zawiedzionych nadziei i straconych szans.

– Jest pan zwolennikiem Dłoni, nieprawdaż? – odezwał się wreszcie Saridot.

Klauni, zataczając się i potykając, opuszczali arenę, ustępując miejsca skąpo ubranym zabawiaczkom. Otoczyły one wianuszkciem Ehego Eh, zapowiadacza mającego już najlepsze lata za sobą, niegdyś jednak cieszącego się wielką sławą.

Trats zastanowił się, nim udzielił odpowiedzi. Czy w pytaniu kryła się pułapka? Saridot słynął z tego,

że każde jego słowo miało przynajmniej kilkanaście znaczeń i podtekstów. W dodatku z pewnością nie zaprosił Tratsa dla własnej przyjemności. Wszystko, co robił, wiązało się z polityką Klubu Perły. Perła rzeczywiście kierowała się filozofią Dłoni pozostającą w symbolicznym sporze z filozofią Narzędzia wyznawaną oficjalnie przez Klub Róży. Naturalnie gdyby Róża rzeczywiście oddawała się Narzędziu, członkowie jej klubu musieliby się zmienić w pokornych mnichów. Pozorny dylemat Róża rozwiązała za pomocą mnóstwa niuansów filozoficznych, których Trats nawet nie starał się zagłębiać. Od filozofii wzięły swoje nazwy także stronnictwa Rady Miejskiej, oficjalnie zarządzającej Jedynym. Dłoń dążyła do możliwie szerokiej niezależności od Króla, podczas gdy Narzędzie upatrywało w nim jedyne źródło władzy.

Trats, który istotnie popierał w wyborach Dłoń, uważał się za bliższego Narzędziu. Ale czy Saridotowi chodziło o politykę, czy filozofię? Biorąc pod uwagę jego reputację, Trats spodziewał się, że agent Perły zdołał go przejrzeć. Czyżby – pomyślał – zastawiono na mnie pułapkę?

– Jestem zwolennikiem pieniędzy – udzielił odpowiedzi, jak sądził, neutralnej, ale też wpisującej się w politykę klubów popierających raz jedno, raz drugie stronnictwo Rady Miejskiej. – Nie kieruję się w pracy polityką.

– Bardzo słusznie. – Saridot skinął głową. – Jednak polityka, co nieuniknione, puka czasem do pańskich drzwi. Partie otwarcie kibicują konkretnym stajniom, czyż nie?

Odpowiedź na to pytanie na szczęście była prosta.

– Nie pracuję dla żadnej z tych stajni, panie Saridot. Ani dla Białych, ani dla Zielonych. Wielkie stajnie mają swoich własnych łowców, a ci tworzą zamkniętą grupkę, w której miejsca raczej dziedziczy się, niż zdobywa. To dla mnie za wysokie progi.

– Siebie obraża pan tą niepotrzebną skromnością, a mnie posądzeniem o niewiedzę, drogi panie Trats. – Saridot oderwał na chwilę wzrok od areny. Uśmiechnął się z pozorną serdecznością. – Wiem doskonale, że nie ma neutralnych stajni, nawet żebracze związane są, choć nieformalnie, z jedną lub drugą partią. Pańska niezależność także jest pozorna i choć czasem znajduje pan jakiegoś zawodnika dla stajni związanych z Zielonymi, pańskie najlepsze odkrycia trafiają nieodmiennie do Białych, którzy w istocie są stajnią Perły. Jest więc pan wyznawcą Dłoni, tak w polityce, jak i sposobie życia. Nawet jeśli panu może się wydawać inaczej. Potrafię rozpoznać klejnot, gdy go odnajdę, niedoceniony panie Trats. Nie chcę, by mnie pan okłamywał. Tym bardziej że to nie tylko niekonieczne, ale i niemożliwe.

– Nie można nie sprzyjać żadnej z barw – przyznał szybko Trats, czując krople potu na karku. Z trudem wytrzymał spojrzenie czarnych oczu Saridota. – A jednak zapewniam pana, że nie interesuje mnie polityka. Dostosowuję się do zasad, to wszystko.

– Tak lepiej. – Saridot uwolnił gościa od swej uwagi i skierował ją ponownie na arenę. – Chciałbym ofiarować panu awans, drogi panie Trats.

– Awans?

– Otworzyć panu drzwi do elity łowców. Będzie pan mógł otwarcie opowiedzieć się po jednej ze stron i pracować bezpośrednio dla Białych. Interesuje to pana?

Czy było to możliwe? Trats przełknął ślinę, czując, że poci się coraz bardziej. Oczywiście, Klub Perły mógł pociągnąć za sznurki i najzwyczajniej wymusić na Białych przyjęcie go. W takiej sytuacji do końca życia pozostałby jednak parweniusem, powierzano by mu najgorsze zadania i taktowano jak zadzumionego. Pozornie mogłoby się wydawać, że awansował, ale dopiero jego wnuki zaczęłyby zbierać owoce takiego awansu. Trats nie należał do mężczyzn poświęcających wiele uwagi losom własnych wnuków. Zwłaszcza że nie znalazł jeszcze żony.

– Waha się pan, drogi panie Trats?

Nie tyle się wahał, ile odwlekał nieuchronną katastrofę. Odmówić Saridotowi było niedorzecznością. Musiał przyjąć jego ofertę i skazać się na niewolę u Białych, na zostanie dożywotnim pariasem. Potrzebował jedynie jeszcze kilku sekund, by pożegnać się z życiem, do którego przywykł i które polubił.

– Ja tylko... Oczywiście... – wykrztusił.

W tej chwili nienawidził tego podłego, zimnego sukinsyna. Nie przyjmował jego zaproszenia z lekkim sercem, wiedział, że cokolwiek mu ono przyniesie, będzie się wiązało z ryzykiem i poświęceniem części niezależności. Nie sądził jednak, że zostanie zmuszony, by oddać tak wiele! A może się jednak postawić? Wygrać

dla siebie tę jedną chwilę triumfu i powiedzieć skurwielowi, gdzie go ma z całym jego pieprzonym Klubem Perły? A potem rzucić wszystko, sprzedać biuro i prysnąć do jakiegoś innego widma, gdzie mógłby się zająć koszykówką, wyścigami pustynnych szczurów albo kalihiańskim dominem? A może, gdyby roześmiał się w twarz przedstawicielowi Klubu Perły, Klub Róży zaoferowałby mu ochronę z wdzięczności za upokorzenie zafundowane konkurencji?

Wszystkie te buntownicze myśli rozbłysły w jego głowie na jedną tylko sekundę. Saridot musiał chyba wyczuć jego emocje, bo obrócił się ku niemu ponownie i zgasił całą chęć buntu jednym lodowatym spojrzeniem.

– Jest pan zaskoczony i onieśmielony – odezwał się spokojnie, głosem przesyconym życzliwą łagodnością. – Mimo to nie mogę się oprzeć wrażeniu, że znów pan mnie obraża, tym razem nonsensownymi podejrzewaniem. Klub Perły nie zamierza wykorzystać pana i porzucić. Takie marnotrawstwo nie mieści się w jego filozofii. Jakże moglibyśmy sięgnąć po pana, użyć dla własnych celów i pozostawić go w trudnej sytuacji, zmieniając w istocie w swego zaprzysięgłego nieprzyjaciela? Bo o czymś takim pan myślał, prawda?

Trats nie zdobył się na to, by zaprzeczyć.

– Doprawdy, musi mieć pan o nas niskie mniemanie – Saridot powiedział to z tak autentycznym żalem, że Trats poczuł wstyd. – Nie, drogi panie, nie zamierzamy pana upokorzyć i wykorzystać. Kiedy mówiłem, że chcę ofiarować panu awans, miałem na myśli do-



kładnie to, co powiedziałem. Awans. Zwrócę się do pana z prośbą. Jeśli mnie pan wysłucha, stanie się ona pańskim zadaniem. W zamian otrzyma pan członkostwo w Klubie Perły, drogi panie Trats. Czy pan mnie rozumie?

Czy rozumiał! Jeśli zostałby członkiem klubu, nikt nie musiałby wypychać go na siłę do stajni – wszystkie zaczęłyby o niego zabiegać. Oczywiście okupiłby to resztką niezależności, ale tym razem byłoby to warte tej ceny.

Energicznie skinął głową. Zupełnie inaczej spojrział na Saridota. Nienawiść ustąpiła miejsca wdzięczności.

Nie żeby towarzyszyło jej zaufanie.

– Znakomicie. Chcę, aby zajmował się pan tym samym co dotąd. Jest pan znakomitym specjalistą w swoim zawodzie, prawdziwie utalentowanym zawodowcem. Doprawdy, to wstyd, że marnuje pan swoje zdolności dla średniaków! Zmienimy to. Zajmie się pan wyszukiwaniem i werbowaniem talentów nie tylko na arenach. Z tym że od czasu do czasu będzie pan werbował ludzi dla nas, dla Perły.

– Klub zamierza utworzyć własną stajnię? – zdziwił się Trats.

– Skądże znowu! Zapewniam, klub nie ma zamiaru mieszać się w sprawę Ligi. Chcemy jednakże niektórych utalentowanych wojowników wydobywać z jej, że tak zażartuję, szponów. Potrzebujemy ich. Czy to jasne?

Trats przytaknął, choć mógł tylko zgadywać, do czego Perle wojownicy. Polami bitew odwiecznej wojny pomiędzy klubami były dotąd wyłącznie salony i sale posiedzeń Rady. Czyżby miało się to zmienić?

– Znakomicie! Na początek proszę zwerbować dla nas człowieka, który zwycięża właśnie w pojedynku.

Jednym rzutem wprawnego oka łowca talentów ocenił sytuację. Z ulgą przeniósł uwagę na arenę.

– Pozwolę sobie zauważyć, że Irend, to ten wyższy zawodnik opisany znakiem kła, nie wygrywa, wbrew pozorom. Jego przewaga jest czysto iluzoryczna, choć sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Ten drugi, znacznie niższy, ale silny i zręczny, bawi się nim. Powiedziałbym, że wykorzystuje Irenda, by się czegoś nauczyć, a także zaprezentować swoje możliwości defensywne. Jest niewysoki jak na zawodnika, ale silny i odporny. A przede wszystkim bardzo zręczny i inteligentny.

– Cieszy mnie, że potwierdził pan moje przypuszczenia. Opinia tak znakomitego fachowca jest dla mnie nadzwyczaj cenna. Chodzi mi o tego drugiego. Obserwuję go od dwóch tygodni. Nazywa się Sachin. Zwerbuj go pan dla nas.

– Dla Perły? – upewnił się Trats.

– W rzeczy samej. Ponieważ jednak klub nie ma własnych sił zbrojnych, dla porządku zwerbuj go pan do policji Jedynego.

– Policji? – Trats przestał cokolwiek rozumieć. Po co młody, wyszkolony wojownik w organizacji zajmującej się przede wszystkim ściganiem drobnych złodziejasków i traceniem czasu na ściąganie kotów z drzew?

– Do nowego oddziału policji – uzupełnił Saridot.  
– Wyjątkowego oddziału. Rada Miasta uchwali jutro jego powstanie na jutrzejszym posiedzeniu.

– Dłoń wykorzystuje swoją przewagę – domyślił się Trats. – Chce wzmocnić Radę.

– Dłoń – powtórzył Saridot, uśmiechając się nieznacznie. – Tak, przemyślny panie Trats, tak. Mój przyjacielu, pozwoli pan, że będę się tak do niego zwracać? Znakomicie, dziękuję. A zatem, mój drogi przyjacielu, klub potrzebuje fachowca. Kogoś, kto w mgnieniu oka oceni wojownika, zważy jego wady i zalety. Ja, by poznać się na panu Sachinie, potrzebowałem aż dwóch tygodni. Panu wystarczyło jedno spojrzenie. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że zna pan obu walczących, ale czy nie wystarczyłaby panu chwila?

Trats potwierdził z zapalem.

– Wspaniale! A zatem zadanie pańskie polegać będzie na wyławianiu dla nas wojowników. Naturalnie wojowników o dość szczególnych cechach. Powinni być to zatem ludzie inteligentni, lecz nie zanadto. Godni zaufania, hołdujący lojalności. Pozbawieni przywary gadulstwa i bardziej niż sławy spragnieni godziwych zarobków. Niech nie znają wahania i wiedzą, kiedy należy powściągnąć wodze ciekawości. Niech nie szuka ich pan na dużych arenach, nie trzeba nam straceńców. Czy pan mnie rozumie?

– Potrzebuje pan takich, których na arenę przycięgnęła potrzeba, nie pragnienie – odgadł Trats.

– Ale nie nieudaczników – uzupełnił Saridot z uśmiechem. – Brawo! Cieszę się, że nie popełniłem pomyłki! Proszę więc rozpocząć swoją nową pracę od zrekrutowania zwycięzcy kończącego się już pojedynku. Może się

już pan rozglądać za następnymi. Musi też pan wiedzieć, że czeka pana praca przy ocenie kandydatów podczas prób, które dla nich wspólnie przygotujemy. Czy ma pan jakieś pytania? Nie? Proszę zatem dziś wieczorem przyprowadzić pana Sachina do domu pod numerem 21 przy ulicy Kasharra. Dziękuję. Do zobaczenia, przyjacielu!

Trats ukłonił się i wyszedł bez słowa. Nie miał czasu, by przemyśleć konsekwencje współpracy z Saridotem. Ledwie zstąpił w korytarz, dopadł go Ohellok, mały, łysiejący grubas o wiecznie czerwonym nosie i przekrwionych oczach. Niegdyś był łowcą, jak Trats, później trenerem, a dawno temu podobno nawet zawodnikiem. Nie odniósł sukcesu w żadnej z tych profesji, zdobył jednak doświadczenie wystarczające, by zostać Szczurem. A z czasem królem Szczurów. Jedni nazywali Szczury gildią, inni starali się traktować jak pospolitych przestępców. Bywali znienawidzeni, lecz nie lekceważeni.

Nikt nie przyjaźnił się z Ohellokiem otwarcie. Nikt nie chadzał z nim na spacer, nie przysiadał się do niego w knajpach ani nie zapraszał do swojego stołu, by powspominać stare czasy. Ale i nikt nie odmawiał, gdy Ohellok dosiadał się do niego.

– Tratsie! – Tłuszcioch uśmiechnął się chytrze, niby to przypadkiem wpadając na łowcę. – Imogenie! Mistrzu niższych łowców! Jak rzadko się spotykamy! Czyżbyś mnie unikał?

Łowca odsunął się ze wstrętem od tłustego, trzęsącego się cielska. Ohellok, choć znacznie od Tratsa niższy, sprawiał wrażenie silniejszego.

– Unikać cię? – westchnął, widząc, że nie ucieknie.  
– To niemożliwe. Mów, proszę, co masz do powiedzenia, i puść mnie. Roboty czeka.

– Do powiedzenia? – Szczur się roześmiał, aż zatrzęśły mu się pełne, rumiane policzki. – Nic a nic, Imogenie! Ja, król Szczurów, pan kanałów i zakazanych zaułków, nie mam ci do powiedzenia nic a nic! Mam za to mnóstwo do posłuchania! Wyjaw mi, Imogenie, na czym spędziłeś godzinę z tym wężem Saridotem. Nie obawiaj się, wiesz przecież, że nie zdradzisz mi żadnej tajemnicy, której nie poznałbym najpóźniej do wieczora!

Takich właśnie chwil Imogen Trats nienawidził najbardziej. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Z jednej strony bał się utraty wątego zaufania, którym obdarzył go Saridot, z drugiej wiedział, że nie należy zadzierać z królem Szczurów. Tym bardziej że sprawa musiała być ważna, skoro Ohellok pofatygował się osobiście.

Normalnie poddałby się i powiedział Szczurowi wszystko. Teraz jednak fakt, że wykonywał misję dla Perły, dodał mu odwagi.

– Wybacz, Ohelloku. Wiesz, jak bardzo cię szanuję, jednak wiąże mnie tajemnica. Pociesza mnie, że, jak sam powiedziałeś, i tak wkrótce dowiesz się wszystkiego. Ukłony.

– Hola, myszko! – zawołał Szczur. – Imogenie! Jak możesz mnie tak zbywać? Czy chcesz mnie urazić? Myślałem, że jesteśmy kumplami! Czy nie piliśmy razem piwa? Czy nie śmiałeś się z moich sprośnych historyjek o Pąsowej Lukrecji?

– Wszystko to prawda – przyznał udręczony Trats. Nie dodał, że śmiał się ze strachu przed konsekwencjami sytuacji, w której król Szczurów uznałby go za ponuraka. – Jednak tym razem nie mogę służyć ci pomocą.

– Zasmucasz mnie – oświadczył Ohellok głosem pełnym żalu. Nie odstąpił ani na krok, cały czas tłustym cielskiem przyciskając Tratsa do ściany. – Odrzucasz moją przyjaźń! A jednak wiem, że to chwilowa słabość. Wiem i to, że zmądrzejesz i podzielisz się ze mną wiedzą.

Trats po raz drugi tego dnia poczuł krople potu na karku. Takie słowa w ustach Szczura stanowiły zawołaną groźbę. Otrzymał ostrzeżenie i ostatnią szansę na ocalenie skóry. Zawahał się. Może lepiej powiedzieć? Przecież nie wyjawiono mu żadnej strasznej tajemnicy, padł raczej ofiarą ambicji Szczura. A może to wszystko było próbą? Jeśli tak, jeśli stał za tym Saridot, należało wytrwać! A jeśli nie...?

– Dość! – Suchy, ostry głos dobywający się zza pleców Tratsa zaskoczył ich obu. Ohellok rozpoznał go pierwszy. Warknął. – Dość! – powtórzył Saridot, wyłaniając się z cienia. – Puść mojego przyjaciela, Szczurze! Wara ci od niego!

W pierwszej chwili Trats pomyślał, że przybycie Saridota potwierdziło jego przypuszczenia co do umowy między tymi dwoma. Jeden rzut oka na Szczura wystarczył jednak, by zrozumiał, jak bardzo się mylił.

Twarz Ohelloka wyrażała szczerą, zawziętą nienawiść. Gdy patrzył na Saridota, rzeczywiście przypo-

minał szczura, wściekłego i niebezpiecznego. Puścił Tratsa i ruszył ku Saridotowi.

– Przyjaciela? – wyszczał. – Wara mi? Ty wężu! Ty chuda szczapo! Impotencie! Śmiesz tak do mnie mówić? Tutaj, przy arenie, w jednym z moich łowisk? Rozkazujeś mnie, królowi Szczurów? Władcy cieni tego miasta? Mógłbym cię... Mógłbym cię za to...

Urwał, bo Saridot pochylił się i jednym błyskawicznym ruchem ręki złapał go za gardło.

– Nazwałeś mnie wężem, szczurze – odezwał się cicho, prawie szeptem. – Nazwałeś mnie wężem i dobrze! Bo, pamiętaj o tym, węże zjadają szczury. Mienisz się królem cieni tego miasta? Miej na uwadze, że ja jestem jego sługą i jeśli trzeba, oczyszczę cienie i kanały ze wszystkich szczurów. A zacznę od ich króla. Wynoś się i nie zaczepiaj moich przyjaciół. Byś jednak nie myślał, że brak mi szczodrości, nawet wobec takich żalosnych stworzeń jak ty, ja, Timotei Saridot, udzielę ci odpowiedzi na pytanie, którym zadręczałeś mego druha. Spotkałem się z nim, by oferować mu członkostwo w Klubie Perły. Zważ na to, że należy już, choć jeszcze nieformalnie, do klubu! A teraz precz!

Puścił Szczura i pchnął go w dół schodów. Ohellok drżał, z wściekłości czy też strachu, i Trats pomyślał, że na jego miejscu uciekałby czym prędzej. Król Szczurów nie osiągnąłby jednak swojej pozycji, gdyby nie umiał opanować lęku.

– Klub Perły! – zaśmiał się ochryple. – Gdy przychodzi co do czego, oba kluby zebrzą o pomoc króla

Szczurów! Nie ciesz się, Imogenie, z takiej ochrony, bo prędzej czy później podadzą mi cię na srebrnym półmisku! A ty, Timoteiu, ty... Jeszcze nadejdzie dla nas czas wesołego spotkania! Jeszcze nadejdzie!

Odwrócił się i odszedł demonstracyjnie powoli. Po chwili zaczął nawet pogwizdywać pod nosem skoczną melodię *Wesołej Mati*, hymnu Szczurów.

Saridot nie tracił czasu na odprowadzanie go wzrokiem. Podeszedł do drżącego Tratsa i położył mu dłoń na ramieniu.

– Drogi przyjacielu – odezwał się łagodnie – może pan podejrzewać, że wszystko to zostało ukartowane. Zapewniam, że nie. Obserwowałem pana wystarczająco długo, by nie musieć poddawać go takim próbom. Teraz boi się pan, to naturalne. Zyskał pan właśnie niebezpiecznego wroga. A jednak, proszę mi wierzyć, to dobrze, gdy bagno jest pańskim wrogiem, nie przyjacielem. Wie pan, czego się po nim spodziewać, zatem nie wciągnie pana i nie zmieni w nic podobnego sobie.

– Dobrze panu mówić! – wyjąkał Trats, tak zdenerwowany, że nie zdołał zapanować nad słowami. – Pan jesteś Timotei Saridot, pan byś sobie radził nawet bez wsparcia klubu! Pańskie imię jest jak taran, jak tarcza i miecz! A ja? Kim ja jestem?

– Pan jesteś Imogen Trats – odpowiedział Saridot z uśmiechem – i jestem pewien, że czasem wymawia pan to nazwisko z dumą. Postaramy się, by takich chwil było odtąd więcej. Ale jeśli nie ufa pan jeszcze sile swojego imienia, niechże się pan wesprze moim.



Czyż szczur nie czmychnął przed chwilą na samo jego brzmienie?

Roześmiał się głośno, raz jeszcze zapewnił o swej przyjaźni i odszedł, zostawiając roztrzęsionego Tratsa w ciemności. Łowcy pozostawał nikły płomyk nadziei, że być może Saridot ma rację i że ta przykra chwila rozpoczęła przebudzenie Imogena Tratsa, na które tak długo, kryjąc to nawet przed sobą, czekał.

Jedyne: Ścieżki krwi  
Copyright © Paweł Majka  
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Marcin Kułakowski  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-265-6

epub ISBN 978-83-7995-266-3

mobi ISBN 978-83-7995-267-0

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Joanna Mika

Korekta: Małgorzata Tarnowska

Projekt i adiestacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Marcin Kułakowski

Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)



## POKÓJ ŚWIATÓW PAWEŁ MAJKA

I wojna światowa była tragedią, ale nie skończyła się tak, jak mówią podręczniki historii. Na Ziemi wylądowali Marsjanie. Inwazja została odparta, a uwięziony na powierzchni planety najeźdźca zasymilowany, jednak odąd nic już nie było takie jak dawniej.

Sprowadzone przez Obcych mitbomby uwolniły energię wiary, która ożywiła postaci z mitologii, baśni i legend. Domy otoczono ochronnymi barierami, boscy patroni strzegą poszczególnych miast, po ulicach przechadzają się upiory i magowie. Miejsce dawnych państw zajęły spółki handlowe, Republika Narodów i na pół świadome państwa-organizmy: Wieczna Rewolucja, Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Czego poszukuje zorganizowana przez Nowakowskiego – bogatego krakowskiego Marsjanina – ekspedycja na wschód? Trwają lata Pokoju, ale wyprawa sterowcem nad Kresami Rzeczypospolitej nigdy nie należała do bezpiecznych... Czy barwna zbieranina indywidualności – opętany przez nienawiść Mirosław Kutrzeba, stworzony w laboratorium ślepy bóg Szuler Losu, uzależniony od czarciego mleka były inspektor kolejowy Grabiński, cyganka Sara, olbrzym Burzymur i naiwny Jasiak – wie, na co się porwała?

Zamieszkująca ciało Kutrzeby zmosfera dopilnuje, żeby nie zapomniano o zemście.

NAGRODA LITERACKA IM. JERZEGO ŻULAWSKIEGO  
NOMINACJA DO NAGRODY IM. JANUSZA A. ZAJDLA



## PANI CZTERDZIESTU ŻYWIOŁÓW WITOLD DWORAKOWSKI

Załoga debrisowca „Demeter” składa się zaledwie z dwóch osób: najlepszego w swoim mniemaniu pilota w galaktyce Erwina Dexmore’a i genialnej w mniemaniu wszystkich inżynier Kariny Wulf. Mimo że różnią się oni od siebie jak supernowa od czarnej dziury, stanowią zgrany zespół, zdolny wykonać nawet najniebezpieczniejsze misje w najodleglejszych zakątkach galaktyki. Biznes kwitnie, a reputacja załogi „Demeter” właściwie nie mogłaby już być lepsza.

Wszystko zmienia się, kiedy w trakcie jednej z podróży natrafiają na legendarny okręt piracki, „Panią Czterdziestu Żywiołów”. Rozpoczyna się pościg aż po horyzont zdarzeń i ucieczka do równoległych wymiarów. A to dopiero początek...





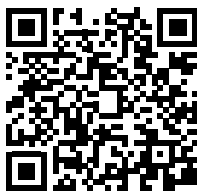
## IDŹ I CZEKAJ MROZÓW MARTA KRAJEWSKA

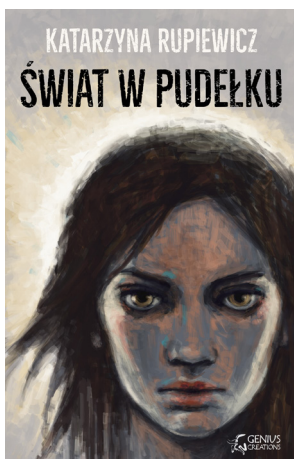
W świecie, gdzie puszcza włada leśny, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmyry i strzygonie, młodziutka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

*Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem opłatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka. – Paweł Majka, autor Pokoju światów i Wojen Przestrzeni, dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego*

PIERWSZY TOM OPowieści z WILCZEJ DOLINY  
NOMINOWANY DO NAGRODY ZAJDLA





## ŚWIAT W PUDEŁKU KATARZYNA RUPIEWICZ

Mam na imię A.

Jestem pudełkiem. Złośliwy los uczynił mnie skorupką niosącą w sobie ocean mocy. Tacy jak ja nie powinni istnieć i nie istnieliby, gdyby ludzie nie zniszczyli swojej cywilizacji. Dawno temu, w czasach, których oni sami nie chcą pamiętać.

Uciekam już bardzo długo. Jak dotąd udało mi się ukrywać przed Rządami i zwykłymi mieszkańcami, którzy widzą we mnie tylko pozbawioną emocji kukielkę.

Mylą się.

Potrafię bać się, cierpieć, mieć nadzieję i żałować!

Kiedy tego potrzebuję.

*Przepis na dobrą książkę: weź tyle znanego, by Czytelnik bez trudu się w tym odnalazł, i tyle nowego, by poczuł się przyjemnie zaskoczony. Katarzyna Rupiowicz realizuje ten przepis bezbłędnie. To się po prostu samo czyta!* - **Marta Kładź-Kocot**, autorka powieści *Noc kota, dzień sowy*





## TROPICIEL MAŁGORZATA LISIŃSKA

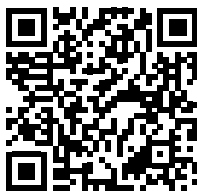
Sodi Yudherthardere, dla przyjaciół i ludzi z problemami wymowy po prostu Sodi, to krasnoludzki Tropiciel ze słabością do kobiet, alkoholu, złota, bijatyk i magii (dosłowną). U boku Yasy (najpotężniejszego żyjącego maga) i Likal (seksownej, potężnej i kompletnie nim niezainteresowanej uczennicy maga) wyrusza w podróż po Krainie, a w drodze przeważnie cierpi na migrenę. Niczym bohaterowie bajek, tylko zupełnie inaczej, ta trójka stawia czoła wyzwaniom

godnym herosów.

Książka dla czytelnika dorosłego lub posiadającego certyfikat znajomości łaciny podwórkowej!

*Mistrz Haxerlin i Thuz z miejsca polubili Sodiego. Idealny towarzysz podróży, bajarz, mitoman i drań w ich stylu!* – **Jacek Wróbel**, autor serii *Haxerlin*

PIERWSZY TOM SERII BAJKI KRASNOLUDÓW





TANIEC MARTIONETEK  
TOMASZ NIZIŃSKI

To nie jest kolejna książka o ratowaniu świata!

W tej rozgrywce stawka nie jest większa niż życie, a ludzkości nie grozi zagłada, lecz w najgorszym wypadku znaczne podwyższenie stóp procentowych.

Witaj w świecie, w którym demony są analfabetami, nekromanci nigdy nie trzeźwieją, a bohaterowie są zawsze gotowi ryzykować zyciem. Cudzym.

Czarna Kompania, Podpalacze Mostów, Łowcy Kości i Siódmy Regiment z Erei to elita wśród najemnych kompanii.

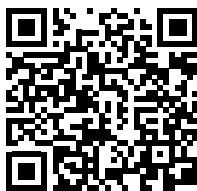
*Wypełniony barwnymi postaciami świat Siódmego Regimentu wciąga i nie wypuszcza do ostatniej strony.*

**Marcin A. Guzek**, autor serii *Szare Płaszcz*

*„Taniec marionetek” to najlepsza powieść fantasy od wielu lat.*  
**Arkady Saulski**, autor cyklu *Kroniki Czerwonej Kompanii*

*Tak dobre, że czytałem na głos!*  
**Wojciech Masiak**, @Czyta Wojtek Masiak

PIERWSZY TOM SERII WYBLAKŁE SZTANDARY







NOC KOTA, DZIEŃ SOWY:  
ZAMEK CIENI  
MARTA KŁADŹ-KOCOT

W Castelburgu, bogatym portowym mieście, władzę przejmuje makiaweliczny Książę, a wygnani arystokraci zakładają Bractwo i z pomocą niejakiego Dionisiusa Grandiniego próbują obalić tyrana. W Emain Avallach, siedzibie magów, niepozorny bibliotekarz zostaje skazany na śmierć, a para kochanków wygnana. W odległym...

Zatrzymajmy się przy parze kochanków. Opowieści o wielkiej miłości mają zawsze wyjątkową moc. Wiedzą o tym

Prządki, więc kiedy na ich oczach rodzi się taka opowieść, uważnie ją obserwują. Siądźmy więc cicho i patrzmy, jak splecą historię Mitrii i Jardala, dwojga czarodziejów, którzy pokochali się, łamiąc tym samym prastare prawo. Udajmy się z nimi w podróż w poszukiwaniu siebie samych i siebie nawzajem.

Wyłęczcie słuch! Nocą usłyszycie stąpanie miękkich kocich łap, a w dzień prawie bezszelestne bicie sowych skrzydeł.

*Najpierw pomyślałam, że to historia o miłości, a pomysł na główny wątek jest czarujący i niebanalny. Potem doszłam do wniosku, że to jednak będzie opowieść o magii i politycznej intrydze. Następnie wpadło mi do głowy, że wszystkie drogi prowadzą do pewnego miasta i będzie to historia jego przemian. Jeszcze później dotarło do mnie, że i miasto, i bohaterowie dążą do wolności. Ta powieść ma wiele poziomów, wiele znaczeń i wciąż się zmienia, wciąga i fascynuje. Z każdą odwróconą stroną zapadałam się w nią bardziej, ciekawa, czym jeszcze mnie zaskoczy. - Marta Krajewska, trzykrotnie nominowana do nagrody im. J.A. Zajdła autorka *Idź i czekaj mroźów*, *Zaszyj oczy wilkom* i *Noc między Tam i Tu**



Jacek Wróbel  
**Cuda i Dziwy  
Mistrza  
Haxerlina**



CUDA I DZIWY  
MISTRZA HAXERLINA  
JACEK WRÓBEL

W wozie Mistrza Haxerlina można znaleźć najbardziej kurioz... wszechstronne artefakty, takie jak stos rogów ostatniego jednorożca, oryginalne kopie mieczy z najgłębszych czeluści piekiel czy bezdenne dzbany na wino. Godziwe zarabianie na życie sprzedawaniem tych dziwów wiąże się jednak z niebezpieczeństwami czyhającymi na dzielnego przedsiębiorcę: demonami, bandytami, krwiożerczymi kapitalistami, seksaferami, reklamacjami i daw-

nyymi kolegami ze studiów.

Czy Mistrz Haxerlin poradzi sobie ze wszystkimi kłodami rzuconymi mu pod nogi przez los? Czy, o zgrozo, odkryje w sobie altruistę? Kto wie, jakie niespodzianki przyniesie życie właściciela obwoźnego magicznego kramiku...

*“Życie wędrownego maga i alchemika powinno być ustane różami. Zazwyczaj tak bywa. Haxerlin właściciel wędrownego kramu “Cuda i Dziwy” ma podwójnego pecha. Nie jest ani prawdziwym magiem ani prawdziwym alchemikiem. Dlatego oprócz wciskania ludziom kitu musi sobie dorabiać. Na przykład przemytem. Niestety życie wędrownego oszusta i kombinatora pełne jest trudów i niebezpieczeństw. W dodatku orżnięci klienci potrafią całe lata chorwać urazę...*

Andrzej Pilipiuk, „ojciec” Jakuba Wędrowycza

PIERWSZY TOM PRZYGÓD MISTRZA HAXERLINA





## KRAWĘDŹ: OTCHŁAŃ PIOTR PATYKIEWICZ

Świat zawieszony pomiędzy Niebem a Otchłnią opromienia życiodajna Łaska. Przybiera ona postać słonecznego światła, które rozprasza mrok i błogosławi wszystko, co żywe. Czasami jednak objawia się w bardziej materialnej formie Anioła.

Kiedy jeden z takich wysłanników Łaski spada z niebios, pozostawia potężną emanację mocy. Dzięki niej zamieszkujący pobliską grotę pustelnik zaczyna czynić cuda i przyciągać wiernych.

Wzbudza tym zawiść i pożądanie Mistrza Zakonu, który wysłał na przeszpiegę Najdka, sierotę przygarbnętego lata temu przez zakonników.

Chłopak staje się świadkiem zmagania pomiędzy światłem Łaski a demonami Otchłni. To, czego doświadcza i wiedza, jaką zdobywa, stanowią ogromne zagrożenie dla ustalonego porządku świata. Najdek, aby uniknąć śmierci lub dożywotniego odosobnienia w klasztorze, musi uciekać. Wyrusza wraz z najlepszym przyjacielem Cabajem i naznaczoną przez Otchłłań Zoją w podróż, która zawiedzie ich na Krawędź świata. Znajdą tam odpowiedzi na wiele pytań, ale i wiele pytań bez odpowiedzi.





## PETERKIN & BROKK: KSIĘGA CZTERECH GRZEGORZ GAJEK

Bycie niziołkiem w szeregach policji to nie jest bajka. Odo Peterkin przekonuje się o tym niemal każdego dnia służby. Znosi jednak uszczypliwe komentarze elfów, ludzi i krasnoludów, gdyż tym, co sprawia mu największą przyjemność, jest rozwiązywanie skomplikowanych zagadek kryminalnych.

Tuur Brokk jest na pierwszy rzut oka przeciwieństwem Peterkina. To uosobienie idealnego policjanta. Krasnolud, weteran wojenny, bokser i postrach przestępczego świata, jak również, o czym wie niewiele, poeta i niepoprawny romantyk.

Pierwszym wspólnym zadaniem Odo i Tuura jest wyjaśnienie tajemniczej śmierci znanego muzyka Viventa Rossiego. Na ich drodze staje armia ożywieńców, powołana do życia w czasach Wielkiej Wojny, magowie i wilkołaki, dziennikarze i eugenicy, a nawet, o zgrozo, dziewczki wszeteczne! A to bynajmniej nie koniec niespodzianek...

*Z daleka detektyw Peterkin i śledczy Brokk przypominają najszynniejszy tandem literackich detektywów XIX stulecia z opowiadań Artura Conan Doyle'a. Kiedy jednak przybliżyć lupę, na plan pierwszy wychodzą nie podobieństwa, ale te wszystkie smakowite różnice, które sprawiają, że ich śledztwa są tak intrygujące.*

Michał Cetnarowski, publicysta, redaktor Nowej Fantastyki

